

ze sanki pana Artura i jego siwka wyjeżdżały owej nocy. Gdy wrócił do stajni nad ranem i sanki i siwka były wprawdzie na swoim miejscu, ale niemyślne ślady wskazywały, że chodzący w śnieżycę nocą, już po dziesiątej — Zadok bowiem o dziewiątej wyszedł. Około tego czasu zamknął stajnię, ale klucz zawsze wisiał w kuchni, dla każdego dostępny. Wieszalo go się tam ze względu na pana Artura, który niekiedy wyjeżdżał późnym wieczorem i wtedy sam zaprzagał sobie konia.

Zadok przypuszczał, że i tej nocy tak być musiało, chociaż, dlaczego koń wrócił do stajni, a pan Artur nie wrócił do domu, tego on już nie rozumiał. Pewien był jednak, że siwka chodziła nocą.

Zastanawiano się nad tem, gdyż Artur zaprzeczył, jakoby był sanek i konia nocy tej używał. Oświadczył natomiast, że wychodził pieszo, a na opowiadanie stangreta odpowiedział, że to „bre-dnie“.

— Nie ja jeden tej nocy wypilem za wiele w mieście — odpowiadał uparcie na wszelkie w tym kierunku pytania.

— Nie dałbym trzech groszy za wszystkie Zadoka gadania, po pięciu godzinach tańca i odpowiednim piciu. Gdy wrócił do domu, nie było wcale znać po siwce, żeby była wychodziła.

Ponieważ jednak sam powrócił do domu dopiero około południa, więc też do zdania jego nie przywiązywano wielkiej wagi.

Co do mnie, to skłonny byłem uwierzyć, że istotnie siwka chodziła — że jedna z nich ją zaprzęgała, a może obie i że w ten sposób dostały się do domu „pod Szumiącemi Sosnami“. Noc była nazbyt zimna, nazbyt wyraźnie groziła zadymka, a żeby tak daleko miały się puszczać pieszo. Artur był silny bardzo, ale Adela wąta i nigdy wiele chodzić nie lubiła. Od pierwszej chwili zagadką było dla mnie, jak ona się do klubu dostała?

A teraz zrozumiałem równocześnie i to — i zarazem i to także, że Karmela mogła bezpiecznie i cało powrócić do domu. Jechała w obiedwie strony. I to mi również wytłómaczyło, dlaczego miała na głowie dzokejkę, a może i okrycie męskie? Pod futrem mogłaby w oczach każdego po drodze spotkanego doskonale za mężczyznę uchodzić. I tego też zapewne chciała. Mężczyzna i kobieta, jadący przez miasto późną nocą, nie zwrócą niczyjej uwagi — dwie kobiety zauważonoby odrazu. Nie chcąc zwracać uwagi, uciekły się do podstępu — Karmela w każdym razie, Adeli, zawsze bezwzględnie otwartej w mowie, czy też w czynach, na myślby to prawdopodobnie nie przyszło.

Tak rozumowałem, wnosząc z tego, co wiedziałem. Czy podobnie rozumować będą ci, co ode mnie mniej wiedzą? Czy fakt, że konia wyprowadzono ze stajni podczas tych tajemniczych godzin, gdy nikogo, zdaje się, nie było w domu, oprócz tej młodej dziewczyny, którą następnie mającącą znaleźć rano — czy fakt ten obudzi podejrzenie, że nie obcą była zbrodni? Reporter nie wspominał nic o tem — ale czy policya nie pójdzie za tym niewątpliwym śladem? Na myśl o tem drżałem...

A jednak — jeżeli oni pominą tę wskazówkę — co wtedy będzie ze mną?

Człowiek jest tylko człowiekiem i przychodziły chwile, że zadawałem sobie pytanie, czy też to młode dziewczę warte tej ofiary, którą ja dla niej spełnić zamierzałem?

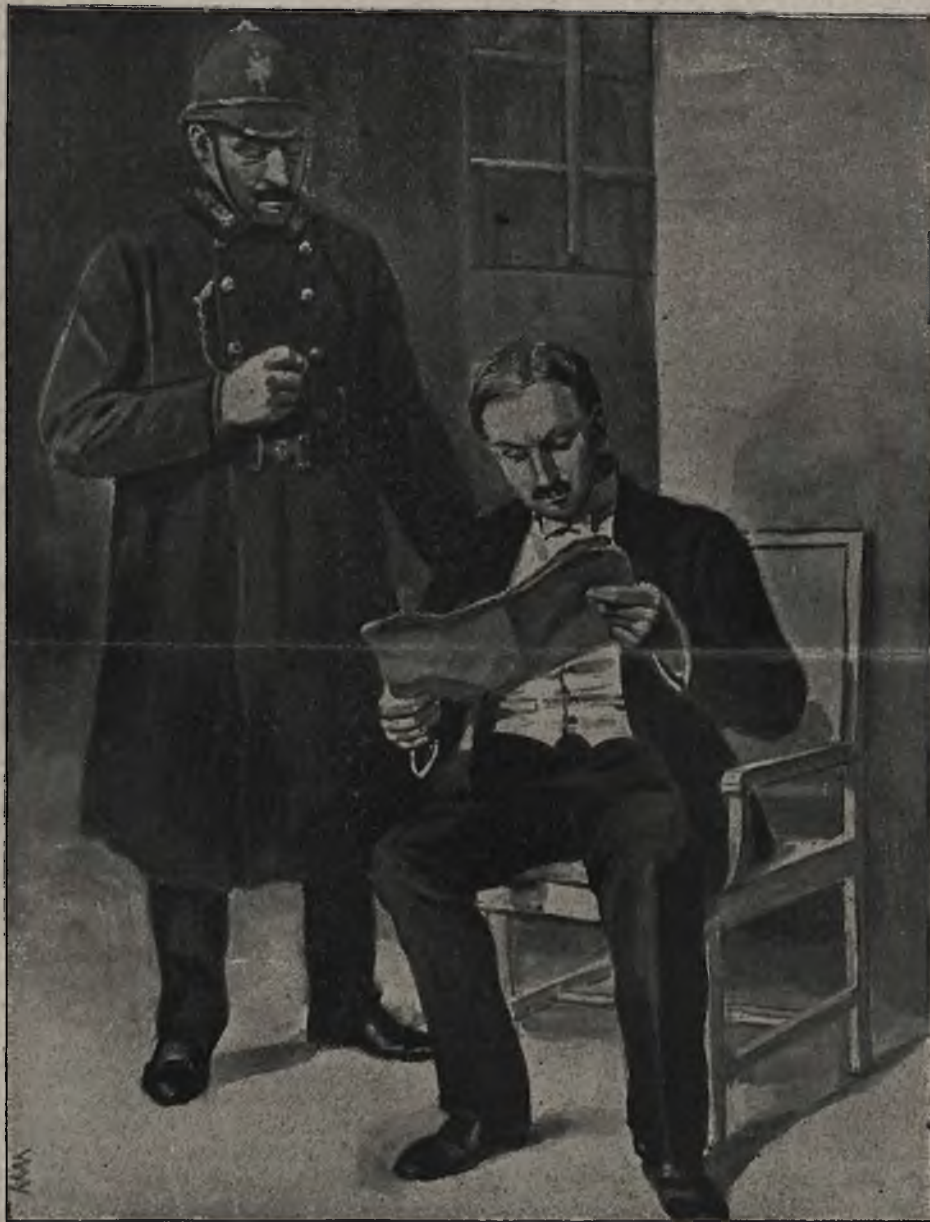
Piękną była, miłą była i miała wszelkie zadatki uroczej kobiecości — o ile nie w tych rzadkich a przykrych chwilach, gdy ogarniał ją szal namiętnego gniewu i zmiatał wszystko dokoła. Ale czyż mimo to ja życiem mojem płacić miałem za nią, która — prawda, że podrażniona — podniosła rękę na siostrę, drugą matkę prawie?

Wierzyłem w to, nie wątpiłem, że podrażniona ją, że ją wyzwało. Adela, pomimo rzadkich cnót, nie zawsze łatwą była w pożyciu. Sama prawa i bezwzględnie szczerą, nie umiała wyrozumieć, nie umiała przebaczyć braku zasad, samolubstwa i słabości woli u drugich. Nieco chłodna, nieco zamknięta w sobie, mało wylana, choć zawsze bez zarzutu, hojna i szlachetna w czynie — oburzała się

całą duszą na nikczemność albo niewdzięczność i choć mówiła niewiele, czuło się jej nagane, jej surowy sąd. Zmieniało ją to nawet fizycznie. Błada zwykle i dosyć nikłych rysów, takie płomienie wtedy miewała w oczach, tak zmieniała się w wyrazie, że inną się stawała kobietą. Widziałem, jak brat jej, wysoki i tegi mężczyzna, kurczył się w sobie w takich wypadkach wobec jej kilku spokojnych słów, i mniejszym się zdawał od niej... I w takich też tylko chwilach bywała piękną.

Gdybym ją był kochał, podziwiałbym zapewne tę prawość namiętną, tę kryształową czystość zasad, tę bezwzględność wobec wszystkiego, co małe, samolubne, niegodne szacunku zacnej kobiety. Nie kochając jej jednakże, lękałem się tylko jej niezadowolonia i doskonale rozumiałem, jak nieskrywany jej gniew mógł podzielać na wrażliwą jej i tak już głębokiem cierpieniem dotkniętą siostrę. Karcąca wzgarda, nieznosne docinki...

No tak — no tak — to wszystko przecież moje domysły, moje przypuszczenia tylko... ale miałem teraz czas snuć te przypuszczenia i wyobrażnia na-



To też z lękiem i oczekiwaniem otworzyłem gazetę.

suwała mi niejedno, co przedtem rozmyślnie usuwałem z duszy. I wciąż z niepokojem stawiałem sobie pytanie:

Czy mam wytrwać na tem stanowisku, które przyjąłem przez wrodzony odruch rycerskości, czy oszczercem moim przeciwstawić prawdę? Czy sprawę moją i jej sprawę powierzyć sprawiedliwości ludzkiej, czy czekać, aż się spełnią „nie rychliwe ale sprawiedliwe“ wyroki Opatrzności?

I walczyłem z tą zagadką godzinami.

A przecież nie sam byłem na świecie.

Miałem krewnych, miałem przyjaciół. Niektórzy z nich odwiedzili mnie i odeszli, ciężko zmartwieni moimi niedomówieniami.

Chwiałem się i z innego względu. Gorąco kochałem matkę. Nie żyła już, ale czciłem jej pamięć. Czyż miało być powiedzianem, że mordercą był jej syn? Nie, myśli o tem nie mogłem znieść. Krzyczeń mi się chciało, wielkim głosem przeczyć... Lecz w takich chwilach stawała mi przed oczyma wizja młodej dziewczyny z anielską twarzą; i widziałem cudowne jej oczy i uśmiech niewinny, kochający — bez winy, bez fałszu i bez obłudy... Nie — ja do jej zguby nie przyłożę ręki... niech inni wykryją, że była w domu klubowym równocześnie z siostrą — lecz ja tego nie rozgłoszę. Obstawiałem

tylko będę przy własnej niewinności, lecz jej imienia nie wspomnę.

Tak brzmiało moje postanowienie, gdy odwiedził mnie Karol Clifton.

Posłałem po niego w chwili upadku ducha. Był moim przyjacielem, ale i prawnym moim doradcą także; jako takiego wezwałem i jako taki przybył. Choć stosunki nasze były serdeczne, zauważyłem, że nie wyciągnął do mnie ręki na powitanie, więc i ja mojej nie wyciągnąłem. Pozory nazbyt silnie przemawiały przeciw mnie — czyż mogłem się więc dziwić? Zrozumiałem, że nie mogę w tej chwili żądać tego od nikogo, od najlepszego przyjaciela nawet...

Przemówiłem pierwszy.

— Nie spodziewałeś się zapewne nigdy, że mnie tu zobaczysz. Ale nie mówmy o tem. Policya ma swoje powody, dla których to zrobiła i niewątpliwie czuła się uprawnioną do uwięzienia mnie. Pomimo to niewinny jestem zamachu na miss Cumberland. Nie przyłożyłem ręki do tego morderstwa, o ile się okaże, że to było morderstwo. Wszystko, co czytałeś w gazetach o moich zeznaniach, wszystko to prawda. W domu pod Szumiącemi Sosnami znalazłem się dopiero wtedy, gdy miss Cumberland już nie żyła. Na to mogę złożyć przysięgę i na tym pewniku możesz polegać, gdyby ci przyszło z czasem podjąć się mojej obrony.

Słuchał, jak prawnik słucha człowieka, który go sobie przyzwał do pomocy. Widziałem jednak, że nie oddziaływał na jego przekonanie. Patrzył na mnie, jak na człowieka, który ponosi winę — a nadto — którego ani uniewinnić, ani skutecznie obronić podjąć się niepodobna.

— Ty mi nie wierzysz — ciągnąłem dalej bez zbytej goryczy. — Nie dziwię się temu, wiedząc, że Clarke zeznał, iż widział, jak ręką dotykałem jej szyi. Ktokolwiek, przyjaciel czy obcy, widząc to, wziąłby mnie za mordercę. Ale Karolu, tobie wyznam to, co przemilczałem niebachnie przed dr. Perry, w jedynej może i jedynie właściwej chwili. Ale dlaczego przemilczałem? Czy z tchórzostwa, czy z wstydlivej niechęci mówienia o najtajniejszych drgnięciach moich uczuć?... Jedno i drugie zapewne... Otóż tak... prawdą... gdy oczy moje padły na te sine piętna, grozą zdjęty przed wyobrażeniem, które one nasuwały, nachyliłem się nad nią i chcąc ich nie widzieć, zakryłem je palcami... Ty musisz mi uwierzyć, ty musisz! — zawołałem, widząc, że surowy wzrok jego nie zmienił wyrazu — nie żądam tego od reszty ludzi! Ale ty, jako mój przyjaciel i jako mój przyszły obrońca, ty musisz w to moje zaprzeczenie, jak w prawdę ewangeliczną uwierzyć. Może zawiodę cię w czem innem. Może ci nieraz sprawię trudności, nie ułatwię ci zadania — może nieraz pożałujesz, żeś się podjął mej obrony, ale na tym fakcie możesz się oprzeć

z całą i z pełną wiarą. Ona już nie żyła, zanim ja ją dotknąłem... Gdyby ten policyant, którego świadectwo może mnie zaprowadzić na szubienicę, był wszedł na drzewo i zajrzał oknem o chwilę wcześniej, byłby to widział. I cóż, czy podejmujesz się mojej obrony?

Clifton to porządny chłopak i ja wiedziałem, że jeżeli raz uwierzy w moją niewinność, zrobi dla mnie wszystko, co może zrobić zręczność i umiejętność w tak rozpaczliwym położeniu. To też z najwyższym niepokojem śledziłem chłodny wyraz twarzy i badawczy, surowy wzrok jego podczas całego opowiadania mego. Serce zabiło mi mocniej, gdy ujrzałem łagodniejszy wyraz w jego rysach i gdy niedługo ciepło odpowiedział mi w końcu:

— Przyjmuję obronę twoją, Ranelagh. Oby Bóg dał, by była skuteczną, wbrew wszelkim szansom! Nie miałem wielkiej nadziei, jednakże przy tych słowach lżej mi się na sercu zrobiło. W jednym przynajmniej człowieku obudziłem wiarę w moją niewinność.

(Dalszy ciąg nastąpi).